

Niebo ściemniało nienaturalnie. Nabrało zielonkawego odcieniu włosów topielca. Zmierzch zapadł dużo szybciej niż zwykle i wydawał się być bardziej ponury i złowrogi. Chmury wisiały nisko, zapowiadając deszcz, który długo miał nie spaść. Pojedyncza błyskawica na wschodzie i gniewny pomruk burzy były jak podniesiona kurtyna w teatrze. To już, zaczyna się.

Prorocy, wymarłe ludy i wszyscy, którzy potrafili zajrzeć w przyszłość, mówili o tym dniu. Mówili z trwogą, bacznie patrząc w oczy słuchaczy. To nie były żarty ani tanie wróżby. To była prawda, ale mało kto w nią wierzył. Najważniejsza prawda od początku stworzenia świata. Prawda o Końcu.

Co myślał Bóg, przykrywając ciemnością całą planetę? Czy płakał, zadając jej ostateczny cios? Może spojrzał tylko z sentymentem na to, co sam stworzył i obiecał sobie, że następnym razem wymyśli coś lepszego. Skinieniem głowy wysłał wśród ludzi Jeźdźców Apokalipsy, by wojnami, zarazą i głodem przynieśli im powolną śmierć. Teraz nadszedł czas, by ostatecznie zgasić życie miliardów ludzi, roślin i zwierząt. Czas, by przerwać miliony myśli, planów i marzeń, które nigdy nie zostaną skończone.

Na całym świecie w tym samym czasie zerwał się silny wiatr. Nie był to huragan ani tornado, ale był wystarczająco silny do popychania ludzi i upiornego zawrodożenia w kominach. Łamał krzewy i małe drzewa, przewracał kosze na śmieci, których zawartość w oszalałym tempie pędziła przed siebie. Wody wystąpiły z brzegów i zalały pobliskie ziemie. Rzeki wezbrały w ciągu kilku minut, rozlewając dookoła nadmiar wody. Na morzach tworzyły się ogromne fale i bezlitośnie kładły się na pustych ulicach i zamkniętych w przerażeniu domach. Powracały ciągle, zatapiając najmniejsze i najbardziej wątłe ślady życia. Zacieraly znaki ludzkiego istnienia, ciągnęły za sobą nieruchome, zimne ciała poległych w walce z żywiołem.

Ciemność rozświetliła długa błyskawica. Potem kolejna i jeszcze jedna. Grzmoty były jak urągłiwy śmiech Jeźdźców. „Tak, udało nam się.” Zakrzywione berła Zeusa uderzały jeden po drugim. Płonęły lasy, parki i pojedyncze drzewa. Tliły się nawet krzewy róż na opustoszałych podwórkach. Wiatr rozprawdzał iskry we wszystkie zakątki świata. W ogniu stały domy i ludzie biegający wkoło jak żywe pochodnie. Krzyczeli przeraźliwie, czując zbliżającą się śmierć. Upadali bezsilnie, skowycząc coraz ciszej i zamieniali się w popiół, który kiedyś czuł, oddychał i płakał nad złem całego świata i krzywdą wszystkich ludzi.

Spojrzał Pan Bóg na swój ginący świat i myśląc o wszystkich, którzy czekali na Koniec, uniósł dłoń. Wody uspokoiły się, wiatr ustał prawie zupełnie, a błyskawice zniknęły na moment. Oddech dla Pana Boga, oddech dla świata, oddech przed Końcem, nieuniknionym i nieodwołalnym Końcem.

Spokój przerwał huk, jakiego nikt jeszcze nie słyszał. Był gorszy niż to, co działo się do tej pory. Sam odgłos pękającej ziemi był straszliwy, mroził krew w żyłach, wywoływał dreszcze lub prowokował łzy, uświadamiając ludziom, że wszystko to, co znają, kochają lub nienawidzą, zaraz zniknie. Pochłonie ich ziemia, zamknie w swym wnętrzu i nigdy nie odda. Zatrząsł się cały glob, poruszyły się żółwie z wyobrażeń starożytnych Greków podtrzymujące Wszechświat. Ziemia pękała nieustannie, pokazując swe wnętrze. Głębokie bruzdy przecinały wszystkie oceany i kontynenty jak niechciane zmarszczki na twarzy kobiety. Sięgały środka

ziemi. Ostawionego jądra, którego nikt do tej pory nie widział. Planeta odślaniała swe serce, wewnątrz, do którego nie wpuszcza się nikogo. To już nie miało znaczenia, bo wszyscy mieli zginąć. Młodzi i starzy, zdrowi i chorzy, sceptycy i ci, co wierzyli. Płonęli, zamieniając się w szarą kupkę, którą porywał wiatr. Tonęli lub byli zakopywani żywcem w swych własnych domach. Ginęli przygnieceni drzewami lub walącymi się budynkami. Wpadali w przepaście, raniąc ciała o ostre kamienie. Byli jak malutkie zwierzątka zamknięte w pudełku z kilkoma dziurkami. Nic nie zależało od nich, byli skazani na łaskę i niełaskę właściciela pudełka. Ale Bóg nie jest małym łobuziakiem, który w końcu zostawi swoje ofiary. Bóg ma plan, plan Zniszczenia. Zawsze wiedział, że Koniec, to dzień, w którym można tylko krzyczeć. Każde słowo, jakiegokolwiek by było, jest nie na swoim miejscu. Nawet najbardziej pokorna i skruszona myśl nie zmieni biegu wydarzeń.

Świat był przegrany. Wszystkie zdarzenia, które miały miejsce w jego długiej historii, nie miały już sensu. Wszystkie egoistyczne wojny, oszustwa przynoszące korzyści, dobre uczynki i wyciąganie dłoni do innych, nie miało najmniejszego znaczenia. W obliczu śmierci nie liczy się to, co było ani to, co będzie. Jest tylko umieranie. Powolne zamykanie oczu i zanurzanie się w ciemność. Odejście w sny i marzenia, które były częścią życia.

* * *

Szła ulicą, kuśtykając lekko. Zaschłe łzy zmieszane z tuszem do rzęs tworzyły na jej twarzy bezładne wzory. Jej dom zawalił się, stając się grobowcem dla całej jej rodziny, w osłupieniu słuchającej ostatniej działającej stacji telewizyjnej. Mówili o serii trzęsień ziemi na całym świecie, gdy ich dom zaczął drżeć. Spadały obrazki ze ścian, drgały meble, sypał się tynk z sufitu. Najpierw zarwał się dach nad kuchnią, potem zawaliła się jedna ze ścian salonu. Weszła pod stół w momencie, gdy waliły się resztki dachu. Stół załamał się i przygniotł ją deski i cegły. Brakowało jej powietrza, kurz wypełniał płuca i oczy. Wszystkimi siłami zdołała przecisnąć się przez warstwę gruzu i odetchnąć czystym powietrzem. Bolała ją głowa, a z tydki ściekała krew. Choć była obolała i przestraszona, natychmiast pomyślała o mężu i synku. Wołała ich, ale nie odpowiadali. Może nie słyszeli lub już nie mogli słyszeć. Może krzyczeli o pomoc, ale to ona ich nie słyszała. Pewnie dusili się pod szczątkami ich domu, nie mogąc się ruszyć. To jedna z chwil, kiedy rozpacz jest nieunikniona. Chwila, w której płacz i krzyk przychodzą same.

Ledwo żywa podniosła się z kolan i poszła przed siebie. Mijała zburzone domy, w których byli uwięzieni ich mieszkańcy, rannych ludzi, którzy poruszali się z trudem lub leżeli oddychając ciężko, kończąc swe życie. Do bólu głowy i zranionej nogi dołączył ból brzucha. Nasilał się z każdym krokiem i wkrótce stał się nie do zniesienia. Dotarła na skraj parku. Położyła się na trawie, w cieniu drzew. Myślała o całym swoim życiu, o wszystkich rzeczach, z których była dumna i których się wstydziła. Wypłynęły na wierzch wszystkie jej obawy zbierane przez całe życie. Strach wszystkich etapów jej istnienia zamienił się w jeden, strach przed nicością. Obawa przed całkowitym zniknięciem. Ciało nie było potrzebne, ale dusza musiała przetrwać. Co jeśli tak nie będzie? Jeśli ciało zgnije w ziemi, a ducha rozwieje wiatr?

Przestała cokolwiek słyszeć. Widziała walące się budynki, pękające ulice, drzewa poruszane wiatrem, ale nic nie słyszała. Nic, prócz słodkiej muzyki ze starej szkatułki jej babci. W szkatułce mieszkała baletnica w różowej sukience. Czarny aksamit opadł jej na oczy.

Widziała jedynie miękką ciemność, w którą weszła z przyjemnością. Bez strachu i obaw przeszła na drugą stronę kurtyny.

* * *

Świat dogorywał. Wyczerpany pożarami, powodzią, wybuchami wulkanów i trzęsieniami wydawał ostatnie tchnienie. Zginęło mnóstwo ludzi. Pozostali czekali na śmierć z niecierpliwością lub strachem. Zmęczeni, ranni wyczekiwali śmierci jak jedynego ratunku, odpoczynku i zbawienia. Czekali na kolejne wstrząsy i rozstępującą się ziemię, ale od kilku minut nie działo się nic. Wiatr rozsypywał ich włosy po spoconych karkach, studził rozgrzane czoła, dotykał lekko dłoni, jakby w geście przeprosin. Wtedy spadł deszcz. Był jak długo powstrzymywane łzy. Jak słone krople trzymane siłą wewnątrz duszy. Uciekały spod powiek chmur i w milczeniu spadały wśród pozostałości dawnej świetności. Skapywały smutno i spokojnie. Żałobne krople wiedzące czym jest śmierć. Zbyt dumne by się spieszyć, zbyt mądre by powiedzieć wszystko naraz. Na tyle współczujące by spaść w odpowiedniej ilości nie pomnażając bólu. Spokój deszczu był tylko pozorem. Wnętrze Ziemi wrzało, płynne jądro osiągało coraz wyższą temperaturę. Pękały kolejne warstwy Ziemi. Planeta drgała coraz mocniej, ziemia unosiła się i opadała. Ciepło przenikało przez wierzchni płaszcz Ziemi. Nagle wybrzuszenia zapadły się, czemu towarzyszyło przeciągłe westchnienie umęczonego świata. Ziemia wydeła się i nie przeciągając dłużej, eksplodowała. Oślepiające światło zakończyło długie lata wysłużonej Ziemi, mieszkania wielu tworów natury i Boga. Długo po wybuchu resztki planety odpływały w mroczną przestrzeń. Zmierzały ku gwiazdom, które były towarzyszymi setek ziemskich żyć.

Bóg też gdzieś zniknął. Pewnie poszedł tworzyć kolejny dzień i kolejną noc, bo zadaniem bogów jest budowanie i niszczenie. A może odszedł, bo umarł Jego świat i ludzie, których sam ulepił? Nie miał kto o nim myśleć, nie miał kto dawać Mu Życia. Bogowie umierają, gdy umierają ci, co oddają im pokłon i część siebie.